

1993/ maj / nr 31

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SKAWINY
CENTRUM KULTURY I SPORTU W SKAWINIE



Informator

Nr 31

Skawina, maj 1993 r.

TREŚĆ

	str.
49 rocznica bitwy o Monte Cassino — Marian Łoziński	3
Książka wspomnień o Skawinie — Józef Kubas	5
Wspomnienie (wiersz) — Andrzej Kurkowski	12
Fajanse skawińskie — Bogumir Pekarek	13
Jaką kawę pijaliśmy dawniej — Marian Pajączkowski	17
Z okupacyjnego notatnika — Józef Nowak	19
Skawiniak na emigracji — Marian Pajączkowski	22
Centrum K. i S. patronuje imprezie „Dni Olimpijczyka” — Kaje- tan Czubacki	27
Nasze sprawy — Józef Kubas	29
Uzupełnienie — Halina Klimek	

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Skawiny-Centrum Kultury i Sportu w Skawinie
Redaguje zespół.

Adres: 32-050 Skawina, ul. A. Mickiewicza 26

Druk: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków

Zam. 7446/93

49 ROCZNICA BITWY O MONTE CASSINO

oprac. Marian Łoziński

Stare przysłowie powiada, że: „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. Ale szlaki tego żołnierza, który tę drogę otwierał w dniach 11 do 18 maja 1944 roku — w historii nie mają sobie równych. Wiodły one z więzień i łagrów rosyjskich, z dalekiej Kołymy i katorgi za koło polarne rzuconej. Z Kazachstanu i pogranicza chińskiego. Z obozów niemieckich. Z kraju przez niezliczoną ilość „zielonych granic”. Przez pola Francji, wyspy Brytyjskie, fiordy Norwegii.

Przez piaski pustyni i poprzez słynną obronę Tobruku... Z Argentyny Charbinu, z Brazylii, Chile i Stanów Zjednoczonych. Przez wszystkie kontynenty. Przez cały świat te drogi prowadziły. Brzmi to patetycznie i fantastycznie, a jest prawdą. Prawdą tragiczną i prawdą wspaniałą.

Bo tymi drogami szli żołnierze 2 Polskiego Korpusu, by otwierać drogę na Rzym. Wszyscy, od dowódcy Korpusu poczynając — na najmłodszym żołnierzu kończąc. Uparcie, wytrwale dążyli do odradzających się na obrzyźnie Polskich Sił Zbrojnych, zwanych później od 1942 roku — 2 Polskim Korpusem.



Widok klasztoru na wzgórzu Monte Cassino zaraz po zakończeniu walk.

Szli, by wreszcie zetrzeć się z wrogiem i pomścić krzywdy narodu. Bastion wzgórz Monte Cassino, bo o nim mowa, u stóp którego niegdyś formowały się Legiony Dąbrowskiego, zwany Linią Gustawa, opierający się o drugą linię obrony niemieckiej tzw. Linię Hitlera pod Piedimonte, był kluczowym punktem niemieckiego oporu na drodze do Rzymu. Zdobywany w styczniu 1944 roku przez Korpus Amerykański, w lutym tegoż roku przez Korpus Nowozelandzki, wreszcie w marcu przez wojska kolonialne Francuzów — nie uległ.

Skoncentrowane naloty ciężkich bombowców zamieniły klasztor w gruzy. Ale załoga Linii Gustawa, wyborowe oddziały niemieckich spadochroniarzy, wytrzymały piekło ognia. Monte Cassino pozostawał dalej niezdojbyte.

Stoki wzgórz gęsto zasłały trupy amerykańskich, angielskich, nowozelandzkich i hinduskich żołnierzy. Rozegranie czwartej bitwy przypadło w udziale żołnierzowi 2 Polskiego Korpusu. Punktualnie o godzinie 23.00 dnia 11 maja 1944 roku odezwała się cała artyleria piątej i ósmej armii. Od Aquafondata do morza Tyreńskiego. Na odcinku polskim ogień otworzyło około 40 pułków artylerii tj. około 1.050 dział różnych kalibrów. Przygotowanie ogniowe na tym odcinku trwało do godziny 01.00 dnia 12 maja. Teraz ruszyła piechota.

Dwa kolejne natarcia. Dziesiątki i setki fragmentów — zdarzeń w ciągu tych dni do 18 maja, gdy klasztor został zdobyty. I to nie była Samosierra jak chcieli niektórzy. To długi tydzień śmierci, tydzień krwi, tydzień trzymania nerwów na wodzy, przemijania w skwarze włoskiego słońca pod stałym huraganem ognia niemieckiego. W pamięci uczestników tej bitwy na zawsze pozostaną takie nazwy i kody jak: wzgórze 593, siodełko 569, Gardziel i Mass Albanetta, Cavendish Road, Inferno, Widmo i S. Angelo, które zdobywano kolejno.

I wreszcie po 7 dniach i 8 nieprzespanych krwawych nocach — tego dnia, o godzinie 10.20 patrol 12 Pułku Ułanów Podolskich pod dowództwem ppor. Kazimierza Gurbiela zawiesił na gruzach klasztoru swój proporczyk ułański, a o godzinie 10.40 żołnierze 3 kompanii 5 baonu 3 Dywizji Strzelców Karpackich, pod dowództwem por. Adama Puzonia — flagę polską.

Oddając w 49 rocznicę bitwy hołd poległym, nie zapominajmy, że brali w niej udział również „Skawiniacy”. Należeli do nich: zmarły kilkanaście lat temu — saper 3 Dywizji Strzelców Karpackich plut. Karol Pięta, zmarły rok temu — żołnierz 5 Kresowej Dywizji Piechoty (legionista) Michał Górecki, dowódca komandosów, brat jednego z dawnych dyrektorów szkół skawińskich — mjr. Władysław Smrokowski,

oraz Z-ca D-cy 13 baonu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — mjr. Jan Żychoń, pochowany na cmentarzu w Krakowie.

Wszystkich uczciła nasza wspaniała, skawińska młodzież harcerska, organizując w minionych latach Krąg ZHP „Czerwony Mak”, a ostatnio piękną i wyjątkowo bogatą w eksponaty Izbę Pamięci Narodowej im. gen. Władysława Andersa. Coroczne obchody kolejnych rocznic tej bitwy, organizowane przez tę młodzież, pozwalają sądzić, że pamięć owych dni nigdy nie zaginie.

Marian Łoziński

Z-ca D-cy 3 komp. 5 Baonu
3 Dywizji Strzelców Karpackich

Uwaga:

W czasie organizacji Armii Polskiej w ZSRR (późniejszego 2 Polskiego Korpusu), na skutek wyniszczenia organizmów w łagrach, warunków klimatycznych lub chorób — zmarli:

- strz. Jezioro Jan ur. 1920 Wola Radziszowska, zm. 15.07.42 Kenimech ZSRR,
- uł. Klimkiewicz Franciszek ur. 1919 Facimiech, zm. 28.07.42 Kenimech ZSRR,
- kan. Maślanka Stanisław ur. 1921 Radziszów, zm. 3.05.42 Kermine ZSRR,
- strz. Szerer Dawid ur. 1900 Mogilany, zm. 23.02.42 Kermine ZSRR.

KSIĄŻKA WSPOMNIENI O SKAWINIE

oprac. Józef Kubas

W witrynach księgarń Krakowa i Skawiny ukazała się książka „Scarlett alla Polacca” wydana przez Jagiellonię S.A. Kraków. Obwoluta w barwach tęczy, ze starym angielskim dworem, w bajecznej scenerii starych drzew i krzewów. Czytelnik biorąc do ręki tę książkę z tytułem przypominającym dawną historię „Przeminęło z wiatrem” mógłby ulec wrażeniu, że bierze do ręki książkę o starych angielskich rodach, byłby jednak w błędzie. Autorka tej książki Barbara z Szusterów (Buczek to rodowita skawinianka, która od dzieciństwa po wczesną młodość wzrastała w Skawinie. Była piękną dziewczyną o uroczym uśmiechu, towarzyszką dziecięcych i młodzieńczych zabaw wielu z nas. Matka autorki, Maria z Ludwikowskich Szuster była człowiekiem niezwyklej dobroci, ojciec, Ryszard — majorem Wojska Polskiego. Jej pradziadek i dziadek Seweryn i Stanisław Ludwikowscy przez wiele lat burmistrzowali w Skawinie. Bratem matki był Ludwik, wieloletni działacz Klubu Sportowego „Skawinka”. Brat autorki, Leszek, historyk sztuki, to długoletni dyrektor Muzeum Historycznego w Krakowie. Wszyscy oni spoczywają snem wiecznym na starym cmentarzu skawińskim, a opodal szumią stuletnie dęby nad willą, z której autorka wyruszyła w daleki świat.

Książka ta pisana jest nie piórem lecz sercem, ze wspaniałą swadą, w stylu gawędziarskim. Oddaje wiernie klimat miasta, w którym autorka spędziła swoje dzieciństwo i młodość. Bystra obserwatorka opisuje życie miasta rodzinnego z okresów międzywojnia, z czasów wojny i pierwszych dni po niej.

W pamięci mam urocze spotkania w willi jej rodziców, ukrytej wśród dębów, obok stawu, w którego zielonej wodzie przeglądała się pochylona stara wierzba. Były wędrówki po mieście i jego okolicach, były kuligi w zimowej scenerii sosnowego boru, i wśród wyniosłych tynieckich wzgórz. Na kartach wspomnień przewija się życie sennego miasteczka w okresie międzywojennym. Autorka opisuje różne ważne wydarzenia, którymi żyło miasto. Zjawiają się barwne opisy społeczności żydowskiej będącej wówczas większością kupiecką w mieście, jej praca, zwyczaje oraz harmonijne współżycie ze społecznością katolicką. Potem, w czasie wojny, zmiażdżeni jej taranem odeszli na zawsze, a z nimi ich zwyczaje i klimat miasta, którego nie ma i już nie będzie. I wspomina autorka swoje życie już w czasie wojny w zupełnie nowych i innych warunkach. Praca w małym szpitaliku i codzienne utrudzone wojenne dni. Przyjmowanie wysiedlonych warszawiaków, których przywieziono do Skawiny, troska o rozlokowanie i zapewnienie dalszego ich życia.

Autorka niezwykle żywiołowa, zawsze czuła na ludzką krzywdę i nędzę, niosła pomoc ofiarnie tam, gdzie jej było trzeba, bez względu na trud. Dalsza część opowieści autorki to obraz jej zmagania się z przeciwnościami życia, już na innej ziemi, którą wybrał jej los, budowanie domu i jego ciepła z dala od tych, co pozostali w Ojczyźnie, a z nimi łączy ją teraz wiotka nić listów.

Tę uroczą książeczkę czytają skawiniacy ze łzą w oku. Autorka wracając w niej do czasów swojej młodości, ożywia tych, co tutaj żyli, i odeszli i wspomina tych, którzy tu spędzili całe swoje życie kochając swoje miasto.

Nasze Towarzystwo Przyjaciół Skawiny bardzo ciepło przyjęło tę książkę. Jest ona jedną z niewielu, która przyczynia się do ocalenia od zapomnienia historii miasta.

Po latach trudno odnaleźć miejsca ukochane i dla autorki i dla nas, tutaj żyjących. Dobrze się więc stało, że utrwalono je w tej książce.

Z dalekiego Londynu przesyła nam „Baśka” owiane szczerym sentymentem wspomnienia miasta, jakiego już nie ma, ludzi, którzy odeszli wraz z wygasłą epoką, słowem odwieczną i piękną pieśń o przemijaniu.

Za zgodą pani Barbary Buczek zamieszczamy poniżej dwa rozdziały z książki „Scarlett alla Polacca”, w których opisane są charakterystyczne sceny z życia Skawiny w pierwszej połowie lat trzydziestych.

ŻYDZI

Okna naszego mieszkania wychodziły na rynek; kamienica była narożna. W sobotnie popołudnia wzdłuż drewnianego parkanu, po wyboistym chodniku wracali Żydzi z bożnicy. W tamtych latach była bożnica — nie synagoga, i z niej wracali Żydzi — nie Izraelici czy tarozakonni, po prostu Żydzi. Szli poważni, parami, w czarnych, długich chałatach, w lisich czapach, a za nimi żydowskie wyrostki w jarmułkach, z długimi pejsami.

Pierwszy z za rogu poważnie nadchodził Barber. Z długą brodą, z Talmudem w rękach, w lisiej czapie nasuniętej na wielką, siwą głowę. Barber miał sklep z ciastkami, jedyną w miasteczku cukierenkę mieszczącą się w nowej kamienicy, na dole. Dwa stoliki, każdy nakryty kolorową ceratą; słodycze i precle w szafce za szybą. Do Barbera chodziło się w gorące, letnie dni na wodę sodową z sokiem malinowym.

Za Barberem krok w krok podążał wysoki, chudy Klajnberger, ten ze sklepu z materiałami na męskie ubrania. Sklep miał ciemny, długi; wiodły do niego trzy schodki, wchodziło się przez oszklone drzwi. Klajnberger za ladą w jarmułce, bez chałata, w koszuli i czarnej kamizelce wydawał się jeszcze chudszy i wyższy. Powagi dodawała mu krótka czarna broda, cienki wąski nos, czarne jak węgiel oczy za drucianymi oprawkami grubych szkieł.

Ciemne wnętrze sklepu przejmowało nas strachem, woleliśmy stać przy drzwiach i z daleka patrzeć, jak kupiec rozwijał na ladzie sztuki materiałów, jak cienkimi palcami głaskał zwoje wełen zachwalając jakość towaru. W głębi sklepu krawcy-Żydzi prasowali w kłębach pary, waląc żelazkami o deski — turkotała maszyna do szycia — a stary, maleński Jasek siedział w kucki na stole pod żółtą żarówką i na kolanie fastrygował białą nicią długie szwy.

Oczy szybko przyzwyczajały się do ciemnego wnętrza. Klajnberger z ojcem prowadzili długie rozmowy o Berlinie, o Bielsku, o procentach, o akcjach, a my patrzyliśmy jak Jasek przeciągał długą nić po gałce wosku i jak śmigła srebrna igła na tle zakurzonego okna.

W sobotę za Barberem i Klajnbergerem kroczył gruby, rudy Gross. Gross nigdy nie nosił lisiej czapy — głowę przykrywał aksamitną mycką.

Kiwał na nas, przylepionych do szyby, i śmiał się, pokazując żółte zęby. Gross miał piekarnię na końcu ulicy, naprzeciw knajpy „Na Szpicu”.

Do piekarni czasem chodziliśmy z Franią. W piekarni było ciepło, pachnąco. Trzech rudych, jak ich ojciec, chłopaków mieszało ciasto w ogromnych dzieżach piegowatymi rękami, a Gross zaczerwieniony od gorąca buchającego z piekarskiego pieca, drewnianą łopatą wyciągał lub wpychał w otwór nad paleniskiem chałki, chleby, precelki. Do wiklinowych koszy pod oknem zsypywał rumiane kajzerki, solanki, rogałe, bułeczki z makiem, z czarnuszką, maślane słodkie z cynamonem, z rodzynkami. Frania wybierała bułeczki, upewniając się, czy dzisiejsze i czy chrupkie, „bo pan tylko takie lubi”. A gdy w sklepie było pusto, bo wcześniej się jeszcze ludzi nie napchało, dostawaliśmy od pana Grossa obwarzanku żegnani uśmiechem od ucha do ucha.

Za Grossem z bożnicy toczył się na krzywych nóżkach garbaty Goldsztajn — fryzjer — prawie biegł chcąc dotrzymać kroku grubemu piekarzowi. Poły czarnego chałata, za długiego jak na jego pokracczną postać, podtrzymywał rękoma i co chwila zadzierał dużą, okrągłą głowę jakby chciał lepiej słyszeć, co mówi Gross.

Goldsztajn miał po prawej stronie rynku zakład fryzjerski, z szyldelem w kształcie wielkiego mosiężnego talerza, a za oknem słój z żywymi pijawkami i koszyk ze szklanymi leczniczymi bańkami, a poza tym w razie potrzeby wyrywał zęby, toteż czasem dochodziły z jego zakładu wrzaski, czasem ktoś wyskakiwał w pośpiechu z chustką przy twarzy, klnąc siarczyście na czym świat stoi.

Następny był Klajnberger — brat tamtego wysokiego — tylko ten był ze sklepu bławatnego, po drugiej stronie rynku; drobny, szczupły, w lisiej czapie i też w okularach. Sklep miał duży, przestronny. Po jednej stronie na półkach leżały zwoje batystu, flaneli, perkalu, dymki, fularu, a po drugiej była pasmanteria: nici, guziki, tasiemki, koronki, ale nie walansjenki — po walansjenki jeździło się do Krakowa, do Góralik. W pasmanterii urzędowała Klajnbergerka. W przeciwieństwie do męża — gruba, zawsze na czarno ubrana, w peruce przykrytej siatką.

Za Klejnbergerem podążał garbaty szewc, który robił nam buciki i do domu przynosił do miary.

Szli długą, czarną, zwartą procesją, aż do rynku. Pod masarnią Kubicy rozchodzili się lub też stali grupami głośno rozprawiając, gestykulując i kiwając głowami. Nie mieszkali w rynku — gnieździli się w małych drewnianych domkach na peryferiach miasteczka. Jeden był inny — to Kamiński — był obcy, przyjechał niedawno, nie nosił się po żydowsku ani jego żona nie nosiła peruki, chodził w jasnym garniturze,

w żółtych butach i w kapeluszu; wynajął największy lokal w naszej kamienicy i otworzył tam sklep z butami, ale buciki i tak robił nam na miarę garbaty szewc.

Na dole, na samym rogu, od strony rynku był jeszcze sklep Helki Szechterki, naszej wielkiej miłości, zawsze ślicznie ubranej, wysokiej, zgrabnej, piegowatej, o przezroczyście białej cerze i kruczoczarnych włosach zwiniętych w duży węzeł. Sklep miała kolonialny; było w nim wszystko, toteż do Helki chodziło się najczęściej, najpierw z Manią, potem z Ewką. U Helki kupowało się śledzie, mydło, pastę do butów, suszone śliwki, rodzynki, cukier, sodę, gdy przychodziła Wawrzkieviczowa do prania. U Helki były „Danusie” i pischingerki. Helka zawsze pytała: „Czy Basieńka czekoladki lubi? Czy Basieńka od Helki czekoladkę weźmie?” Kroiła, pakowała, ważyła czerwonymi od zimna i soli rękami i zawsze z miłością patrzyła za ladę sklepu, gdzie siadywała jej stara matka, gruba, nalana, na pół sparaliżowana Żydówka, okutana czy to zimą, czy w lecie, w wełniane chustki, zawsze skrzywiona i zasmarkana. Helka od rana do nocy uwijała się po sklepie, każdego znała z imienia, wszystkie plotki z całego miasteczka zbierała, zawsze wszystkim życzliwa, uśmiechnięta i pomocna — temu poradziła rumianek, tamtemu ślaz na przeziębienie, albo senesowe liście zaparzyć radziła. Często dawała na kredyt kobietom, gdy ich stary zarobek zostawił „Na Szpicu” i na zapalki zabrakło.

JARMARK

W czwartek już od wczesnego rana słyhać było za oknami turkot wozów. Pokryte płóciennymi budami, załadowane towarem toczyły się od Krakowa, od Korabnik, zaprzężone w stare szkapy, popędzane strzelaniem z długich batów. Pod oknami szły kobiety zawinięte w lniane chusty, na plecach niosły masło sery, w rękach kosze z jajkami albo bańki z mlekiem czy blaszanki ze śmietaną, a do baniek przyczepione kwarty do mierzenia.

Jechały chłopskie furmanki, półkoszki z siedzeniami ze słomy przykrytymi kilimkami, jechały gospodynie w barwnych chustkach, z wozów wystawały łebki gęsi, kaczek, a często też pokwikiwał prosiak czy ryczało ciele. Żydzi już od świtu rozkładali stragany na rynku, wzdłuż drogi, która rynek przecinała na pół, od rogu naszej kamienicy, aż do magistratu; po lewej stronie ustawiono pod płachtami stoły z materiałami, a dalej haftowane bluzki, gorsety, kolorowe spódnice i chustki,

potem wstążki, nici, tasiemki, po drugiej stronie drogi siadały okutane w chusty baby, a przed nimi worki z grochem, fasolą, makiem, z krupami, a bliżej naszego domu — z beczkami z ogórkami, barszczem, żurem. Z tyłu, aż do Goldsztajna, fryzjera, odbywał się handel kozami, indykami, tam darły się gęsi obmacywane przez Żydówki; tam powtarzały się pytania: „Czy tłusta gosposiu? A czy młoda?” Leciwały pióra, wrzask się wzmagał aż do południa.

Wzdłuż naszej kamienicy rozkładały się jatki z mięsem. Na hakach pod budami wisiało mięso, słonina solona, paprykowana, na stołach leżały kiszki (bułczane i krwawe), wianki kielbas — krakowskiej, lisieckiej, węgierskiej — boczki, parówki, salcesony, a dalej sprzedawały kobiety masło na liściach chrzanu, sery białe w kształcie serca, owinięte w lniane szmaty, jajka na tuziny, na kopy, a czasem na mendle. Dalej między wozami na długich kijach wisiały juchtowe buty — brązowe i czarne, uprząże na konie, chomąta, lejce, orczyki, baty z kolorowymi kutasikami. A w samym rogu, naprzeciw restauracji Chmielka rozłożone były skopki, balie, łyżki i czerwone koniki zaprężone do drewnianych wózek, malowane motyle na kółkach, które trzepotały drewnianymi skrzydłami, rzeźbione łyżniki i półeczki, obok wiklinowe kosze na bieliznę, na jaja, wyplatane, płaskie i słomianki do pieczenia chleba. A dalej stragany z gwoździami, kłódkami i Cyganie z miedzianymi rondlami, patelniami.

Był i ostrzarz, który siedział na swym wózku, kręcił kamień i ostrzył noże, nożyczki, tasaki. Był i katarzyniarz z zieloną papugą, która wyciągała losy. Pod „Totą”, knajpą na rogu, chłopci kupowali śledzie od starej Żydówki, o cholewę otrzepywali je z soli, odstukiwali korki z butelek, popijali wódkę, ubijali interesy.

Ale prawdziwy handel przenosił się koło południa za miasteczko, na targowicę — tam szedł handel końmi, krowami, cielętami, świniami. Za targowicą stała murowana rzeźnia i w tej rzeźni urzędowali w czwartki Wcisło, Kubica i Sikorski — trzech rzeźników.

Jarmark kończył się pod wieczór. Żydzi pakowali swoje kramy pod budy wozów, baby zwijały worki, kupowały u Helki Szechterki mydło, naftę, zapaliki, świece i znów obładowane wracały tą samą drogą na wieś. Chłopi interesy kończyli w knajpach „Na Szpicu” lub „U Toty”, a wójtowie w restauracji u Chmielka.

Dziadek urzędował w magistracie 30 lat, pod portretem Seweryna — pradziadka, który przed nim piastował ten urząd. Na pierwszym piętrze z oknami na rynek, zasiadał co dnia do urzędowania. Przyjmował strony, godził zwaśnionych, rozstrzygał spory, a obok — w wielkiej sali

zbierali się radni miasta; uchwalali, podpisywali dokumenty, a co uchwalono, to pod wieczór dobosz miejski najpierw bębnił na cztery strony świata i gdy mieszkańcy miasteczka zwabieni bębnieniem otaczali go kołem, głosem donośnym odczytywał, co zarządzone i tego trzeba się było trzymać. Każdy wiedział co robić kiedy będzie pobór do wojska, kiedy sąd się zbierze, kiedy miejskie konie będą wywozić śmieci, a kiedy gnojówkę, no a czasem ogłaszano, że przyjedzie starosta lub biskup.

Po całodziennych naradach z wójtami, którzy zjeżdżali z Radziszowa, Korabnik, Sidziny, a często i z Liszek, czy nawet Suchej, Limanowej i Jordanowa, dzień kończyło się u Chmielka.



Targ w „Przedwrześniowej” Skawinie - rys. Andrzej Kurkowski

WSPOMNIENIE

Andrzej Kurkowski

Stary kościół w Skawinie,
Rzeczka szumi, a płynie,
Zieleń się rozświergotała!
Wrona kawce nakrakała, że:
„Zmory” — diabeł pazurem,
Anieli płaczą chórem,
A w Gorzeniu — dwór cygański,
W Wadowicach — Anioł Pański!

A w Skawinie wtedy
duży było biedy...

Turkot. Gościńcem i furką,
A bywało, że boso
Na sprzedaj gęsi niosą...
Jabłka, wiśnie, czereśnie...
Może zjawić się we śnie
Ten obrazek pstrokaty
Jak tu było przed laty.

Było, jak w zdartym kinie:
Obraz miga i miga —
Raptem w geście zastyga...
Pejsy widać Żydzinie,
Widać chusty, że w kratę,
Na grzbiecie widać łatę,
Snopki, koszyczki, skopki,
Na straganie Prokopki...
Błyszczą bryczka ze dworu
Brazowego koloru.
Wieje ogon i grzywka,
Lśnią kopyta u siwka.

A że lato — to kwiaty.
Kwiatów wiejskich rabaty.
A że czwartek — to gwarniej,
W dzień targowy, upalny...

Ściśnij oczy, wyraźniej

W kamerze wyobraźni...

Było lepiej, czy ładniej —
Kto to dzisiaj odgadnie...

FAJANSE SKAWIŃSKIE

oprac. Bogumir Pekarek

W tym roku Skawińskie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych obchodzą swe 83-cie urodziny!

Założenia tych Zakładów już prawie nikt z Mieszkańców Skawiny nie pamięta. Pierwotnie na samym początku produkowały one wyroby szamotowe i kamionkowe. Po siedmiu latach produkcji wyrobów kamionkowych zlikwidowano ten wydział, uruchamiając w 1917 roku, a więc w czasie pierwszej wojny światowej tak zwaną przez pracowników „Garncarnię”.

W związku z uruchomieniem w 1917 roku nowego Wydziału Fajansowni do Skawiny zaczęli przyjeżdżać fachowcy — ceramicy tacy jak Austriak Alfons Flajk, czy Czesi jak Zika, Rikier, czy znany mi tylko z autografu artysta malarz ceramik pan Smutny.

Wyżej wymienieni to nietylko ceramicy-technicy, ale zarazem i artyści malarze, którzy zaczęli uczyć załogę manufakturowo fabrycznej produkcji fajansu.

Po skończeniu pierwszej wojny światowej z ceramików został przez Dyрекcję SZMO ściągnięty z dawnych Austro-Węgier, a obecnej Słowacji Vasenda Jan — senior i Vasenda Jan — junior, ojciec i syn.

W niedługim czasie bo już na początku 1922 roku przyjechał ze Znojma z Czech mój Ojciec, Wacław Pekarek i zaraz przystąpił do pracy jako modelarz i formierz ucząc tego fachu pracowników „Garncarni”.

Kierownikiem „Garncarni — Fajansowni” został Alfons Flajk — Austriak, pierwszorzędny fachowiec, który prowadził ten wydział od samego początku jego istnienia, aż do jego likwidacji na przełomie lat 1927/28.

Dyrekcja proponowała mu objęcie stanowiska kierownika kaflarni, lecz on tej oferty nie przyjął, wracając do swych stron ojczystych do St. Pöltzen w Austrii. W czasie okupacji hitlerowskiej już jako starszy człowiek odwiedził Zakłady i jako Austriak podkreślał że bardzo ceni Polaków i bardzo dobrze mu się z Polakami współpracowało — co w okresie wojennym dowodziło dużej odwagi osobistej.

Kierownikiem malarni na Fajansowni był Czech Robert Zika, który podobnie jak kierownik Flajk nie przyjął proponowanej mu pracy na Kaflarni, wracając do Znojma na terenie ówczesnej Czechosłowacji, gdzie podjął pracę w Zakładach Ceramicznych Ditmara.

Produkcja fajansu skawińskiego odbywała się metodą manufakturową — na półręczną, jedynie rozdrabnianie masy, jej przemiał i przy-

gotowanie oraz wypał już gotowych wyrobów fajansowych miał charakter fabryczny.

Budynki Fajansowni — Garncarni mieściły się zaraz za budynkami biurowo — mieszkalnymi i zakładowym laboratorium przy drodze prowadzącej do Samborku.

Z zachowanych dwóch katalogów — cenników z 1923 roku (gdzie ceny podane są w markach polskich) i z 1924 roku, gdzie ceny podane są już w nowej walucie, a więc w złotych polskich wynika, że ówczesne Skawińskie Zakłady Materiałów Szamotowych i Fajansowych Spółka Akcyjna w Skawinie posiadały bardzo duży wachlarz wyrobów — w pierwszym rzędzie użytkowych — ale również o zastosowaniu dekoracyjnym, jak różnego rodzaju patery, czy ozdobne serwisy kawowo — herbaciane.

Przedstawiony na zdjęciu serwis składa się z 6 filiżanek, łącznie z sześcioma spodeczkami, z jednego dużego imbryka oraz dwóch mniejszych nalewek i cukiernicy.

Wszystkie 16 sztuk serwisu są dekorowane sześcioma kolorami.

W 1924 roku koszt takiego serwisu dekorowanego glazurami podszkliwnymi wynosił 9,08 złoteo.

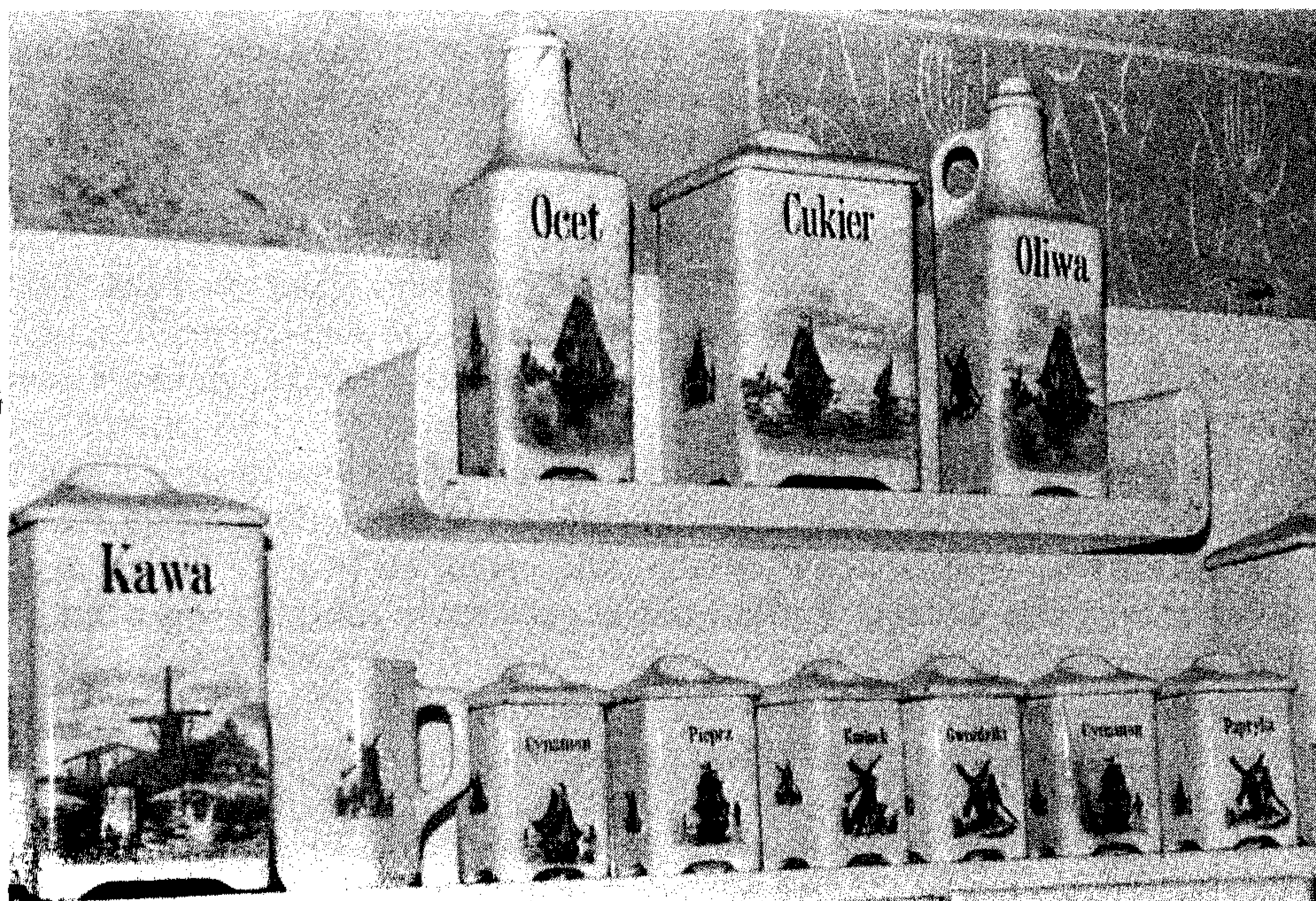


Oprócz słoików, słoiczków aptekarskich, kompletów umywalkowych, czy łazienkowych oraz serwisów kawowo — herbaciano — śniadaniowych Zakład produkował wszelkiego rodzaju talerze, miski, czy salaterki. Artykuły te były kompletowane w serwisach na 6 lub 12 osób, ale klient mógł zamówić dowolną ilość poszczególnych naczyń fajansowych, co miało pierwszorzędne znaczenie przy zakupach przez restauracje, pensjonaty, czy sanatoria.

Żałuję, że w tak skromnym opisie nie mogę podać zdjęć tych wszystkich talerzy, serwisów, salaterek, czy kompletów umywalkowo-łazienkowych.

Jeżeli chodzi o talerze i salaterki produkowane przez „Skawińską Garncarnię” — to naczynia te były dwukolorowe, z tym że zdecydowanie przeważa kolor biały, a inne kolory są używane tylko do delikatnego ornamentu na brzegach naczyń.

Wszystkie naczynia użytkowe, czy przedmioty ozdobne były przez Zakład sygnowane swoim godłem i napisem „SKAWINA”. Godło i napis „SKAWINA” na każdym wyrobie fajansowym był reklamą dla Zakładu, a spotykane dzisiaj wyroby ceramiczne ze Skawiny z uwagi na ich muzealną już prawie wartość — osiągają dużą cenę.



Zakład produkował również na dużą skalę garnitury kuchenne. Garnitury takie składały się przeważnie z 12 sztuk z dekorami i napisami w języku polskim. Poszczególne części garnituru kuchennego są w 3 kolorach z przewagą kobaltu. Zakład produkował przeważnie komplety składające się z 16 lub 21 sztuk, przy czym całość znajdowała się na etażerze z twardego drzewa (koszt etażerki był doliczany dodatkowo).

Według cennika Naczyń Fajansowych Fabryki Wyrobów Szamotowych i Fajansowych S.A. w Skawinie cena garnituru kuchennego składającego się z 16 części wynosiła 17,50 złotego, a z 21 części 21,40 złotego — oczywiście w 1924 roku.

Również masowo były przez Zakład produkowane ozdobne patery-ta-lerze. Przy tej produkcji nie stosowano ręcznego dekorowania, lecz metodę tak zwanej odbijanki — kalkomanii pod przezroczystym szklivem.

Z nielicznie zachowanych egzemplarzy można jeszcze spotkać paterę, gdzie jest przedstawiony rynek krakowski z Sukiennicami, Kościółkiem Świętego Wojciecha i wieżą ratuszową, ale jeszcze z austriacką przybudówką (którą po drugiej wojnie światowej zlikwidowano). Koło Kościoła św. Wojciecha i w ogóle na Rynku krakowskim widać dużo drzew — obecnie pozostały już tylko wspomnienia po tych drzewach.

Jak już wyżej wspomniałem budynek w którym produkowano wyroby fajansowe był przez całą załogę Zakładu nazwany „Garncarnią”. Nazwa ta przetrwała w nazewnictwie zakładowym aż do roku 1968, to jest do czasu wyburzenia tego budynku i choć po roku 1928 zamiast fajansów produkowano tu cegłę i wyroby szamotowe, to jednak budynek ten tradycyjnie nosił nazwę „Garncarni”.

Fachowcy tacy jak Flajk, Rikier, Smutny czy Zika po roku 1928 opuścili Skawinę, inni jak Pekarek Waclaw, Schulc, Vasenda senior i junior pozostali przechodząc z Fajansowni do nowo powstałego wydziału Kaflarni — ale to już inna historia.

Na temat Skawińskich Zakładów Materiałów Ogniotrwałych było już kilka artykułów w naszym Biuletynie. Żaden jednak nie wspomniał o „Fajansowni” — o skawińskich fajansach, a większość naszego społeczeństwa — szczególnie Młodzież nic nigdy nie słyszała o takiej produkcji w Skawinie.

Również pisząc historię Zakładu nie można pisać tylko o suchych faktach i cyfrach pomijając ludzi, którzy tą produkcją kierowali, tu do Skawiny przybyli i nawet tu leżą na skawińskim cmentarzu.

JAKĄ KAWĘ PIJALIŚMY DAWNIEJ

oprac. Marian Pajczkowski

W dobie dzisiejszej, kiedy kawa naturalna stała się napojem narodowym podawanym nie tylko w kawiarniach ale także na spotkaniach, konferencjach itp, warto wspomnieć, co było powszechnym napojem w rodzinach średnio zamożnych na codzień jako napój śniadaniowy i często wieczorny. Otóż w latach przedwojennych kończących się w roku 1939, w Skawinie i okolicy pijało się również duże ilości kawy, jednak były to namiastki sporządzane na bazie zbóż i cykorii. Cykoria miała wartości trawienne, stąd stanowiła składnik podstawowy używanej również do kawy naturalnej. Poza tym była ona dopełniaczem koloru napoju: wtedy można było mówić, że „idę na pół czarnej”. Rodziny lepiej sytuowane mogły sobie pozwolić na sporządzanie śniadania z kawy naturalnej zakupionej w skawińskich sklepach, lub w Krakowie, co czyniono chętniej ze względu na większy wybór. W krakowskich sklepach takich jak Jawornicki, Szarski, Grosse lub Gramatyka palono kawę na miejscu i jeszcze ciepłą otrzymywał klient w torebce.

Ciekawe były pojemniki, w których przetrzymywano kawę ziarnistą w sklepach. Były to kolumny wielokomorowe, a w każdej komorze był inny gatunek kawy skąd można było przez otwór pobierać odpowiedni asortyment według życzeń klienta. Dziś można spotkać takie kolumny lecz tylko w zbiorach staroci. Kawę mielono tuż przed spożyciem i gotowano z dodatkiem cykorii według smaku. Nieliczni smakosze parzyli kawę w prymitywnych urządzeniach, nie gotując. Wszystkie inne sposoby podawania kawy jak po turecku, węgiersku, włosku itp. to wyniki migracji narodów po drugiej wojnie światowej, które wraz z innymi nowościami przyniosły i te sposoby.

Wracając do tematu niniejszego artykułu, z całą świadomością stwierdzam, że w poprzednim czasie spijano bardzo dużo namiastek kawy produkowanych w Skawinie w firmie Henryka Francka Synowie S.A. Był to potentat na skalę kraju i po wykupieniu zakładów mniejszych stał się monopolistą. W tej sytuacji wielu mieszkańców naszego miasta znalazło pracę, godziwy zarobek, więc była i troska o rozwój zakładu, i zbyt dla produkcji. Namiastki kawy miały też walory zdrowotne, gdyż nie zawierały kofeiny. Producent dbał również o to aby był duży asortyment do wyboru.

Najpopularniejszą namiastką była kawa „Enrillo”, mieszanka gotowa do użycia już z dodatkiem cykorii. Drugim gatunkiem kawy zbożowej była kawa „Kneippa”. Nazwa ta pochodzi od nazwiska wynalazcy,

Sebastiana Kneippa księdza a zarazem i lekarza praktyka. Podczas leczenia swoich pacjentów zabraniał im picia kawy naturalnej. Uszanował jednak ich przyzwyczajenie więc sporządził napój z jęczmienia i słodu prażonego przypominający kawę prawdziwą. Dalsze ulepszenie smakowe stanowiło dodanie w czasie prażenia karmelu. Dokonał tego właściciel firmy o nazwisku Kathreiner. W ten sposób powstała zdrowa kawa o nazwie „Kathreiner kawa słodowa — Kneippa”. Na opakowaniu umieszczono podobiznę ks. Kneippa. Franck — Aroma to namiastka o smaku czekoladowym, lubiły ją zwłaszcza dzieci. Dla konsumentów



OD 1828 ROKU

Od pokoleń

trwa zamiłowanie człowieka do dobrej kawy. Różnie ją przyrządzano, ale wierne towarzyszyły jej dwa młynki: ten, w którym kawę mielą, i od przeszło stu lat „Młynek”, bez którego nie ma doskonałej kawy. I dziś w paczce z młynkiem i napisem DOSKA FRANCK jest prawdziwy

Franck

masowego spożycia np. wojska, stołówek, internatów itp. produkowano kawę z cukrem (60% kawy, 40% cukru) prasowaną w kostki, którą nazwano „Konka”. Była to też kawa bardzo przydatna dla turystów, na biwaki. Szeroki był asortyment cykorii. Powszechnie znana była cykoria w rolkach, a następnie w ramach modernizacji produkowano cykorię porcjowaną. „Doska” to nazwa cykorii w krążkach do jednorazowego użycia, oraz „Karo” w kostkach sześciobocznych.

Wszystkie wyroby kawowe były bardzo silnie propagowane wśród społeczeństwa. Dział propagandy, jakbyśmy go dzisiaj nazwali — marketingu, za przesłane 10 znaków firmowych z opakowań (sławnych młynków), przesyłał dzieciom przybory szkolne, książeczki i czekoladki. W produkcji namiastek byli również zainteresowani rolnicy, bowiem w niektórych obszarach kraju masowo uprawiali cykorię, której korzeń był podstawowym składnikiem środków kawowych.

Kontynuatorem dawnych tradycji wyrobów kawowych jest obecnie firma Koncentraty Spożywcze S.A. które produkują znaną powszechnie kawę „Inka” rozpuszczalną, według nowoczesnej technologii. Kawa ta posiada międzynarodowy znak jakości „Q” oraz znak „Zdrowej Żywności”. Kawa ta została zbadana i nie posiada żadnych szkodliwych składników jak metale ciężkie, pestycydy itp.

Z OKUPACYJNEGO NOTATNIKA

oprac. Józef Nowak

Ruch oporu na terenie wsi Wielkie Drogi zapoczątkował Jan Brzeziński, z zawodu aktor, który w latach okupacji przebywał w Wielkich Drogach. On to zaczął tworzyć ZWZ spośród tutejszych żołnierzy i oficerów W.P. Zwerbował on we wsi oraz w okolicy około czterdziestu osób. Prasę konspiracyjną dowoził do zaprzysiężonych członków ruchu oporu z Krakowa. Prasę rozwoził w chlebie.

Jan Brzeziński utrzymywał kontakty z podziemiem na terenie powiatu limanowskiego oraz Podhala. ZWZ w roku 1942 przekształciło się w AK i dowódcą zgrupowania w Wielkich Drogach był Józef Brzeziński, brat Jana. Zastępcą dowódcy zgrupowania był Franciszek Gwóźdź z Pozowic. Zgrupowanie podporządkowane było batalionowi w Leńczach, którego dowódcą był major Alojzy Piekarczyk ps. „Lep”. Najaktywniejsi Akowcy to: Adamus z Facimiechu, Gwóźdź ps. „Wnucek”, Sieradzki ps. „Obserwator”, Adamus ps. „Pilot”, Badura ps. „Waga”, Klimkowicz, Józef Badura, Jan Korzeniowski ps. „Żytniak” oraz inni o nie ustalonych bliżej nazwiskach.

W roku 1943 grupa w sile dziesięciu ludzi zniszczyła dokumenty i urządzenia oraz zdemolowała lokal Mleczarni w Brzeźnicy-Nowych Dworach. Zabrano tam również pewne ilości wyrobów mleczarskich.

Następną akcją grupy dywersyjnej AK było rozbrojenie straży Urzędu Celnego „ZOLAMT” przy szosie Kalwaria—Wadowice już na terenie Rzeszy. Rozbrojono 7-miu funkcjonariuszy, zabrano im broń, kożuchy. W tym momencie samochodami przejeżdżało niemieckie wojsko. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której Niemcy ponieśli pewne straty. Równocześnie zaalarmowano wojsko, które stało opodal, puszczając czerwone alarmowe rakiety. Pod ich światłem grupa Akowców ostrzeliwując się, wycofała się w stronę Wysokiej bez strat.

Jesienią tego samego roku urządzono wypad na targownika w Kalwarii Zebrzydowskiej. Dowodził Józef Brzeziński. W budynku, gdzie mieściła się Policja Granatowa w Rynku, partyzanci zabrali targownikowi akta dotyczące dostawy mleka i krów. Obecnych w biurze unieszkodliwiono, zamykając ich w specjalnym pomieszczeniu. Akta częściowo zostały spalone na miejscu. Resztę akt zabrano i polewając je benzyną spalono niedaleko sądu. Za kilka minut zarządzono pościg za partyzantami. Grupa wycofała się w stronę Izdebnika bez własnych strat.

W roku 1944 — zlikwidowano konfidentów na terenie Suchej, Kalwarii oraz Skawiny. Po zlikwidowaniu szpicli nastąpiło pewne uspokojenie terenu.

Z dowództwa grupy dywersyjnej majora „Lepa” otrzymano rozkaz rozbicia mleczarni w Kalwarii, zlikwidowania niemieckiego burmistrza oraz ukaranie chłostą kierownika tartaku. Akcję na mleczarnię urządzono w biały dzień, bijąc w biurze kierownika mleczarni oraz jego zastępcę. Ponieważ w międzyczasie obstawa akcji zauważona przez Niemców zaczęła się bronić — musiano się w porę wycofać w stronę Przytkowic. Nie udało się zniszczyć wszystkich dokumentów. W czasie strzelaniny i wycofywania się został ciężko ranny partyzant Franciszek Adamus ps. „Pilot”. Od godziny 10.00 do szóstej wieczorem wleczono go nieprzytomnego do Wielkich Dróg do domu dowódcy J. Brzezińskiego, którym opiekowała się żona (ps. „Jagoda”). Wezwano lekarza, który orzekł, że to wypadek do uratowania jeden na tysiąc. Adamus leczył się kilka tygodni. Lekarz pochodził z Kalwarii. Sprawy likwidacji burmistrza nie wykonano ze względu na zdemaskowanie rozbicia mleczarni. Sprawa kierownika tartaku, który wysługiwał się Niemcom — została odłożona na okres późniejszy. Karę wyżej wymieniony otrzymał.

W międzyczasie wymierzono karę chłosty wójtowi gminy Przytkowice za współpracę z okupantem, służalczość oraz masowe wysyłanie na roboty do Niemiec. Drugą taką samą karę wymierzono wójtowi gminy Stryszów — jeszcze większemu służalcowi jak wójt w Przytkowicach. Przy życiu pozostał tylko dlatego, że czasem pomógł komuś biednemu zaopatrując w żywność.

W sierpniu 1944 r. w ręce okupanta wpadł dowódca Grupy Operacyjnej AK Śląsk Cieszyński, generał brygady Brunon Olbrycht „Olza”. Dowództwo grupy dywersyjnej majora „Lepa” postanowiło go odbić. W tym czasie ściągnięto około 150 ludzi ze zgrupowań AK z całej okolicy. Akcja odbicia generała wyznaczona została na wrzesień. Akcją dowodził major Piekarz ps. „Lep”. Postanowiono zaatakować więzienie w Kalwarii, co nastąpiło w godzinach popołudniowych. Partyzanci, mając „lewe” dokumenty, przebrani za hydraulików weszli na teren więzienia celem naprawy wodociągów. Obezwładnili oni strażników. Następna grupa weszła za bramę i rozbiła wszystkie cele wypuszczając więźniów. Zabrano generała, który był chory i wycofano się w stronę Izdebnika. W międzyczasie więzienie otoczone było przez partyzantów w liczbie około stu osób. Byli oni uzbrojeni. Przed przystąpieniem do akcji przecięto połączenie telefoniczne. Dopiero po godzinie Niemcy wszczęli alarm, gdy już partyzanci byli w bezpiecznych miejscach. Generała początkowo ukrywano w Izdebniku, a później na innych melinach. Przeżył on okupację i doczekał się wolności.

Z chwilą rozpoczęcia powstania w Warszawie nastąpiła koncentracja grupy dywersyjnej u „Woli” i przegląd broni. Grupa miała wymaszerować do Leńcz z bronią i ekwipunkiem, skąd miano wyruszyć na pomoc walczącej Warszawie. W czasie czyszczenia broni u „Woli”, we dworze, gdzie przebywali Niemcy, nastąpiła kradzież. W pościgu Niemcy biegli w kierunku domu „Woli”. Wtedy żona „Woli” widząc niebezpieczeństwo, swoją odwagą i przytomnością umysłu potrafiła odwrócić uwagę Niemców i wskazała na niewłaściwy kierunek za uciekającym złodziejem. W ten sposób uratowała ona swego męża i wielu innych partyzantów zajętych czyszczeniem broni. Pomoc dla walczącej Warszawy została odwołana.

Zimą 1944 roku przebywając na terenie Marcówki koło Stryszowa, „Wola” spotkał się z oddziałem grupy „Hardego” — „Śląsk”. Wraz z tą grupą brał czynny udział w pościgu za słynnym katem hitlerowskim Zaisem, który „grasował” na terenie zachodnim Generalnej Guberni. Po nieudanej akcji w Mucharzu koło Wadowic zaprzestano dalszego pościgu.

Grupa „Woli” współpracowała ściśle z Bechowcami z Marcyporeby, tj. ze Stefanem Turkiem i Antonim Morkiem. Utrzymywano również kontakty i współpracę z grupami AK w powiecie myślenickim, a przede wszystkim z grupą „Boruta”.

Od redakcji

Opisane wydarzenia stanowią wyjątek z obszernego opracowania pod tytułem „Ruch oporu na terenie miasta Skawiny i okolicy w latach drugiej wojny światowej 1939—1945”. Pierwszy odcinek z tego cyklu ukazał się w Informatorze nr 29, a dalszy ciąg drukowany będzie w kolejnych edycjach.

SKAWINIAK NA EMIGRACJI

oprac. Marian Pajęczkowski

Wśród wielu Polaków, którzy wsławili w świecie Polskę, a także nasze miasto jest pan Stanisław Pyzik, który w roku 1912 wyemigrował za Wielką Wodę i trafił do Argentyny. Opis jego działalności znajdujemy w książce pisarki Zofii Radzymińskiej pt. „Książki i przyjaźnie”, wydanej przez „Pax” w roku 1984. Poniżej zamieszczamy obszerne fragmenty rozdziału „Skawiniak”, licząc na to, że któraś z żyjących rodzin Pyzików dostarczy nam wiadomości o swoim krewniaku — rodowitym skawiniaku, który wyemigrował jeszcze przed pierwszą wolną światową, ale nigdy nie zapomniał o Ojczyźnie i rodzinnym miasteczku.

Nazwisko Pyzik powtarza się często w Skawinie, a także i w pobliskim Samborku. Towarzystwo Przyjaciół Skawiny na podstawie posiadanych materiałów nie jest w stanie ustalić, z której rodziny pochodził pan Stanisław, a chętnie zdobylibyśmy bliższe dane — może nawet i zdjęcia — które moglibyśmy eksponować na naszej „Wystawie Starej Skawiny”. Apelujemy zatem do Rodzin o wspomnianym nazwisku o dopomożenie nam i dostarczenie bliższych danych.

SKAWINIAK

Stanisław Pyzik to dzieje Polonii argentyńskiej. Przybył do Argentyny w roku 1912. Urodzony w Skawinie pod Krakowem, wychowany w tradycji patriotycznej i rewolucyjnej, jako student Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie był działaczem socjalistycznym i ludowym, brał udział w manifestacjach i zagrożony aresztowaniem musiał uciec z kraju. W Argentynie miał wuja, Adama Dąbrowskiego.

Pyzik zdobył tytuł inżyniera w dziedzinie chemii i fizyki, obejmując stanowisko dyrektora Szkoły Przemysłowej w Moron, a ponadto studiował pod kierunkiem astronoma Martina Gila i dokonał wielu wynalazków w dziedzinie meteorologii. Równoległe do tych zainteresowań był zapalonym działaczem w środowiskach polskich i przeprowadził studia archiwalne nad dziejami emigrantów w Ameryce Południowej, których rezultatem była książka „Los Polacos en la Republica Argentina y America del Sud”. Współpracował z pismami polskimi w Argentynie, podpisując swe artykuły najczęściej pseudonimem: Skawiniak, dając tym wyraz pamięci o rodzinnej miejscowości, o Krakowie i Polsce. Był to żarliwy patriota. Mówca złotousty. Założyciel wielu polskich towarzystw i wieloletni prezes Związku Polaków w Argentynie. Żywa historia tamtejszej Polonii. Symbol prawego Polaka.

Wiele dowiedziałam się od niego o krystalizowaniu się społeczności polskiej w Argentynie, o werbunku ochotników do wojska polskiego na Zachodzie; prezes był ucieleśnieniem historii Polaków w Argentynie, wszystkie jej poczynania wiązały się z jego nazwiskiem. W roku 1952 obchodził czterdziestolecie swej działalności, uroczyste, z mowami, klaskami, toastami; złota sala Domu Polskiego zgromadziła „kwiat Polonii argentyńskiej”. Robiono pamiątkowe zdjęcia i prezes Pyzik chciał, by jego „córeczka”, jak mnie nazywał, była blisko niego; ujęłam go więc pod rękę i nawet uśmiechnęłam się; mam to zdjęcie, a nawet trzy jego kopie, bo jedną przysłał mi prezes po wielu latach do Polski. Na odwrocie napisał: „Józiu droga, ileż to już lat!”

Nasze emigracyjne podwórko często pełne było swarów, niekiedy zamieniały się w prawdziwą plagę, co wobec szerszych zagadnień, a zwłaszcza zmian, jakie następowały w Polsce, było raczej groteskowe; w grudniu 1956 roku, po jednym z posiedzeń Rady Nadzorczej Związku Polaków (trwającym osiem godzin) na którym przedstawiciele wymiera-

jących stronnictw brali się za łby, napisałam ostry artykuł; prezes Pyzik przesłał mi wyrazy uznania, dodając:

W chwilach przełomowych, kiedy wszystkie wysiłki winniśmy skierować w celu nam wspólnym, małe, niepoważne posunięcia odsuwają od pracy społecznej wielu ludzi, tworząc z zarządu Związku Polaków jakąś tajemniczą sektę czcicieli jednostki.

W owym czasie myśl o powrocie do kraju, czy choćby o wizycie w Polsce, była uznawana za „zdradę”. Prezes Pyzik był pierwszym emigrantem, który w roku 1958 wybrał się do Polski, a po powrocie pisał w „Kurierze Polskim” pozytywne artykuły o kraju, co wywołało oburzenie i spowodowało, że odsunął się od pracy społecznej i wrócił do zainteresowań historycznych. Współpracowałam z nim w tej dziedzinie zwrócił moją uwagę na wiersze poetów argentyńskich z okresu powstania styczniowego 1863 roku i zasugerował ich przetłumaczenie. Przystąpiłam do pracy z entuzjazmem: oto odkryła się przede mną ciekawa karta historii, a wiersze obrazują wzruszający hołd dla Polski walczącej i przejmujące świadectwo braterstwa narodów.

Kiedy wyjechałam z Argentyny prezes Pyzik pisywał do mnie obszernie listy, dzięki którym otrzymywałam szczegółowe relacje o życiu Polonii oraz o pracach historycznych i społecznych samego Prezesa, związanych z Polakami, walczącymi o niepodległość państwa argentyńskiego.

W roku 1970 brał udział w uroczystościach, które dzięki niemu zostały zorganizowane ku czci Chodasiewicza i Czesława Jordana Wysockiego, twórcy ogrodów Palermo, uczestnika „Podboju pustyni”. Wybrano go też prezesem komitetu powołanego do przygotowań obchodów Roku Kopernikowskiego, o czym donosił w żartobliwej formie: „Prezesurę powierzono 78-letniemu młodzieńcowi, którego Pani zna. Czy aby wywiąże się z misji?”

Wywiązał się i to doskonale. Dzięki niemu stanął w Buenos Aires pomnik Kopernika, dzieło polskiego rzeźbiarza, Adolfa Gletta, tobrukczyka (i mego serdecznego przyjaciela).

W roku 1972, w uznaniu zasług prezesa Pyzika i w sześćdziesięciolecie jego pracy, wmurowano w hallu Domu Polskiego specjalną tablicę ze słowami: „Prof. Stanisław Pyzik, honorowy prezes Związku Polaków w Argentynie, swą długoletnią pracą zasłużył się dobrze sprawie polskiej”.

Pracował w dalszym ciągu z wielką żarliwością. W 1974 roku donosił o swych staraniach w sprawie ufundowania w parku Palermo

tablicy ku czci Wysockiego, uwieńczonych wreszcie triumfem. W lipcu tegoż roku pisał radośnie:

Moja kochana i droga Pani Józiu! „A słowo stało się ciałem.” Mamy już płytę ku czci Wysockiego. Cała ceremonia bardzo udana. Wielu rodaków i delegacji wojskowych. Przy tablicy pełnili wartę Grenadierzy San Martina, Pułk Patricios i kadeci w strojach historycznych epoki, delegacja 3. pułku im. Iwanowskiego i kadeci Szkoły Wojskowej w strojach galowych. Stawili się oficerowie piechoty oddziału inżynierów, przedstawiciel Naczelnego Wodza i cały szereg profesorów ze Szkoły Oficerskiej. Wszystkie Towarzystwa polskie przysłały poczty sztandarowe, a nasz Balet i Chór stawił się w strojach narodowych. Punkt zborny: Dom Polski na Serrano, skąd omnibusy wojskowe przewoziły na miejsce obchodu. Ponieważ był to drugi dzień obrad Sejmiku naszego, więc prowincja była bardzo licznie przedstawiona. Szczególnie spisała się Cordoba. Oni jak zawsze godni pełnego uznania.

Koło tablicy posadzono cztery lipy. Przemawiał przedstawiciel miasta, dr Szelaḡowski w imieniu Instytutu Wojskowego i ja jako ten, który przez kilka lat chodził za tą sprawą, aby naszemu rodakowi dać należne uznanie. Płyta postawiona w miejscu b. odpowiednim, przy av. Sarmiento, która ciągnie się od Plaza Italia wzdłuż ogrodu zoologicznego do Planetarium, gdzie o jakie 100 kroków jest pomnik Kopernika. O miejsce bardziej odpowiednie trudno. Tak to, moja kochana Józiu, dałem do historii Polonii argentyńskiej dwie wielkie figury: Iwanowski, Wysocki. Obecnie pracuję nad postacią Beliny Skupiewskiego, szefa przybocznej gwardii Napoleona, który nie tak w Argentynie, jak w Chile, gdzie znalazł się z wojskami San Martina, które przekroczyły Andy, odegrał bardzo poważną rolę.

W lecie 1975 roku prezes po latach przyjechał do Polski, do rodzinnej Skawiny, ale odwiedził też Warszawę i zaraz spotkaliśmy się w hotelu „Bristol”. Jakaż radość! Siwiutki był prezes, ale młody duchem, szczęśliwy, że może przejść się Krakowskim Przedmieściem ze swoją „córeczką” Józią. Ale opowiedział mi smutną historię: oto po wylądowaniu w Gdyni okradziono go. Gdy wszedł do jakiejś restauracji, by się posilić, położył teczkę z dokumentami i pieniędzmi na krzeselku, a kiedy przyszło do płacenia rachunku, teczki już nie było. I tak stary prezes, który z trudem uciulał pieniądze na podróż do Polski, został bez paszportu, bez grosza, narażony na kłopoty; musiał wyrabiać sobie paszport zastępczy, odbieraliśmy nawet razem potrzebne fotografie, a brak pieniędzy utrudniał mu poruszanie się po kraju. Szczęście, że miał rodzinę w Krakowie. „No, ale, moja Józiu, rozumiesz, chciałem

ja im coś dać, a nie brać od nich — mówił — źle się czuję, tak to jest, stary człowiek, a wciąż naiwny.”

„Skawiniak” odjechał po paru dniach do swego Krakowa, ale wkrótce miałam go znów zobaczyć, bo w końcu sierpnia i na początku września odbywała się tam Międzynarodowa Konferencja Etniczna, zorganizowana przez Ośrodek Badań Polonijnych przy Uniwersytecie Jagiellońskim, na którą oboje zostaliśmy zaproszeni. Przybyło na tę Konferencję kilkudziesięciu uczonych polskich z wielu krajów, odbywały się liczne sesje i posiedzenia, uczestniczyliśmy też w wycieczkach, bankietach i przyjęciach.

Jakież był radosny stary prezes, gdy jechaliśmy przez piękne Podkarpacie do Zakopanego i Chochołowa! Śpiewał znane z młodości góralskie piosneczki, niestrudzony i żywotny, przemawiał pięknie, a wszyscy podziwiali jego polszczyznę, nie skażoną obcymi naleciałościami, mimo sześćdziesięciu trzech lat pobytu na obczyźnie.

Najstarszy przedstawiciel środowisk polonijnych, budził szczególne zainteresowanie. Był żywym symbolem polskości, trwającej niby Piękny Dąb w obcej, niełatwej dla dębów glebie. Syn Ziemi Krakowskiej, ze wzruszeniem chodził ulicami Krakowa, prowadził mnie do zabytkowych kościołów, wspominał lata młodości, często miewał w oczach łzy, jakby nie mógł znieść natłoku wspomnień i wrażeń. A w ostatnie dni konferencji płakał po prostu z żalu, że musi żegnać Kraków, wracać do swojej-nieswojej Argentyny, bo jego własną była tylko polska Skawina, tu był przynależny, tu ziemi swej przypisany. „Józio moja, już się chyba nie zobaczymy” — mówił. Milczałam, bo wiem, jak niełatwo jest przyjechać z Argentyny, i wiem, że osiemdziesiąt trzy lata to nie jest wiek, w którym można planować wiele.

Braliśmy udział w posiedzeniach Zespołu Ameryki Łacińskiej, gdzie zabieraliśmy głos w sprawie „naszej” Argentyny, historii Polaków, i aktualnych spraw Polonii, w których prezes był jedynym ekspertem, gdyż mnie oddzielało już od nich trzynaście w Polsce przebytych lat. Prezes Pyzik zachował wyjątkową żywotność i sprawność swego twórczego umysłu i był wzorem prawego syna ziemi polskiej, upartego „Skawiniaka”, przynoszącego chlubę miejscu swego urodzenia.

Nie danym mu już było potem ujrzeć ojczyznę, choć do ostatnich miesięcy życia jeszcze się do niej wybierał: zmarł 3 maja 1981 roku.

CENTRUM KULTURY I SPORTU W SKAWINIE PATRONUJE IMPREZIE „DNI OLIMPIJCZYKA”

oprac. Kajetan Czubacki

Tradycyjnie od ponad 20 lat z inicjatywy Polskiego Komitetu Olimpijskiego obchodzone są w kwietniu w całym kraju „Dni Olimpijczyka”. Celem tych uroczystości jest zaktywizowanie środowisk związanych ze sportem na rzecz popularyzowania idei olimpijskiej, jej kulturowych i humanistycznych wartości oraz tworzenie właściwej, sprzyjającej atmosfery wokół sportu i jego roli we wszechstronnym rozwoju młodzieży. Obchody „Dni Olimpijczyka” tworzą szansę i możliwość uczestnictwa młodzieży w różnorodnych powszechnych formach sportowo-rekreacyjnych.

Tegoroczna Centralna Inauguracja „Dni Olimpijczyka 93” odbyła się w Skawinie w dniach 16—18 kwietnia z udziałem przedstawicieli władz sportowych, administracyjnych gminy i województwa, zaproszonych gości, sławnych i utytułowanych olimpijczyków, mass mediów a przede wszystkim młodzieży szkolnej, dla której ten dzień był świętem sportu. Organizatorem imprezy było miasto i gmina Skawina, a przede wszystkim administracja i młodzież Szkoły Podstawowej Nr 2 im. Kazimierza Wielkiego w Skawinie. Bezpośrednim koordynatorem przygotowań i realizatorem było Centrum Kultury i Sportu. Przebieg imprezy relacjonowała prasa lokalna i centralna oraz inne środki masowego przekazu. W tym czasie Skawina pozostawała w centrum zainteresowania opinii publicznej całej Polski. Naszą ambicją było, aby tę okazję wykorzystać do zaprezentowania gminy od jak najlepszej strony.

NASZE SPRAWY

oprac. Józef Kubas

W listopadzie i grudniu 1992 r. na zlecenie TPS państwo Teresa i Kazimierz Zajdowie wykonali nowy wystrój artystyczny dwóch sal stałej wystawy „Historyczne dzieje Skawiny”. W nowym ujęciu, po zgrupowaniu zbiorów wg tematów, dano wystawie atrakcyjną oprawę, umieszczając plansze, obrazy, fotografie i ich opisy w lepszym niż uprzednio oświetleniu, nadając zgromadzonym zbiorom jasność, przejrzystość i czytelność.

Plansze obrazujące historię budownictwa starej Skawiny, działalność „Sokoła”, TSLu, Związku Strzeleckiego i okupacji, które znajdują

się w korytarzu przyległym do sal wystawowych pokryto folią samo-przylepną, która chronić będzie materiały zgromadzone na nich zapewniając jednocześnie czytelność napisów. Ramy plansz odnowiono.

Opracowano nową planszę obrazującą działalność Związku Harcerstwa Polskiego na terenie Skawiny z niepublikowanymi dotąd zdjęciami oraz nazwiskami licznych działaczy ZHP z lat 1945—1949.

Wystawa nasza wzbogaciła się o dwa cenne nabytki, a to Szopka Skawińska z ruchomymi kukielkami, oraz grupę lalek z teatrzyku lalkowego. Wyżej wymienione eksponaty zostały wykonane i odnowione przez pana Władysława Szklarskiego założyciela zespołu Teatru Lalek przy Skawińskich Zakładach Koncentratów Spożywczych.

Pani Joanna Kobak wykonała replikę czepka skawinianki z okresu międzywojennego.

Stuletni sztandar Ochotniczej Straży Pożarnej Skawiny podarowany przez wymienioną, zniszczony przez wiek, poddano renowacji. Płócienną część sztandaru rekonstruowała pani Joanna Kobak. Pan Władysław Szklarski dokonał odnowienia malowideł na sztandarze.

Przewodniczący Zarządu przekazał oryginalnego „Turoń” z przebraniem. Turoń został wykonany przez p. inż. Witolda Szandę.

W dniu 16 grudnia 1992 r. odbyło się poszerzone zebranie Zarządu TPSu z zaproszonymi gośćmi z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia. W zebraniu między innymi uczestniczyli Dyrektorzy Centrum Kultury i Sportu, Dyrektorka Biblioteki Publicznej w Skawinie oraz Przewodniczący Oddziału PTTK w Skawinie. Przewodniczący Zarządu dr Józef Kubas omówił zwyczaje związane z obchodami Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku w Skawinie i okolicach. Przybyłym Dyrektorom CKiS Przewodniczący Zarządu podziękował za dobrą i rzeczową współpracę. Dyrektorzy CKiS podkreślili wartość wystawy dla społeczeństwa Miasta i Gminy, uważając, że w przyszłości wystawa może stać się załącznikiem Muzeum Ziemi Skawińskiej. Na zakończeniu zebrania Przewodniczący Zarządu dr Józef Kubas złożył serdeczne życzenia przybyłym gościom i członkom Zarządu, dziękując wszystkim za ofiarną i dobrą współpracę. Zebranie zakończyło przedstawienie jasełkowe w szopce skawińskiej prezentowane przez p. Władysława Szklarskiego.

W dniu 14 stycznia 1993 r. odbyło się spotkanie Noworoczne z Władzami Miasta i Gminy oraz z członkami wspierającymi. Na spotkanie przybyli Burmistrzowie Miasta i Gminy, Przewodniczący Rady Miasta i Gminy, Dyrektor ZSTE, Dyrektorzy Zakładów, Instytucji i Przedstawiciele prywatnych firm oraz inni zaproszeni goście.

Przybyli goście zwiedzili wystawę „Historyczne dzieje Skawiny” prezentowaną przez Przewodniczących, sekretarza i członków Zarządu. Witając przybyłych na spotkanie dr Józef Kubas przedstawił w krótkich słowach historię TPSu oraz utworzenie stałej wystawy, jak również zamierzenia w Nowym 1993 Roku. Przypomniawszy niektóre zwyczaje związane z okresem Noworocznym i słowami poety złożył przybyłym serdeczne życzenia Noworoczne, dziękując Władzom Miasta i Gminy za troskę i pełne poparcie działalności TPSu, a obecnym i nieobecnym Członkom Wspierającym za pełne zrozumienie dla naszych potrzeb. Burmistrzowie i Przewodniczący Rady Miasta wyrazili pełne uznanie dla TPSu za jego wkład dla udokumentowania historii i dziejów Miasta. Pozostali goście również wyrazili swoje uznanie dla pracy TPSu składając jednocześnie życzenia Noworoczne. Spotkanie uprzyjemnił zespół „Krzoki”, który śpiewał kolędy oraz pieśni legionowe i ludowe.

W dniu 22 stycznia 1993 r. Harcerze Kręgu Instruktorskiego „Czerwony Mak” urządzili spotkanie na którym przedstawiciele Zarządu w imieniu TPSu przekazali im życzenia Noworoczne.

Nasza wystawa stale powiększa się o przekazywane przez członków Towarzystwa i Obywateli Miasta dokumenty, fotografie, książki i inne materiały. Zarząd TPSu zaprasza mieszkańców Miasta i Gminy do zwiedzania stałej wystawy „Historyczne dzieje Skawiny”.

Dziękujemy naszym Członkom Wspierającym i indywidualnym za wpłacenie składek za rok 1993, a jeśli ktoś nie zdążył może to uczynić w każdy poniedziałek od 11.00 do 15.00-tej i w środy od 14.00—18.00-tej. Zamiejscowi mogą przesłać przekazem pocztowym do Banku Spółdzielczego w Skawinie na konto nr 1427-2713.

Uzupełnienie do artykułu „Rozwój Poczty na terenie Skawiny” zamieszczonym w Informatorze nr 30 — grudzień 1992 r.

Korzystając z udzielonego mi miejsca w niniejszym Informatorze, chciałabym uzupełnić ww. artykuł stwierdzeniem, że wśród zasłużonych pracowników Poczty pominęłam nazwisko pana Jana Drożdziejewicza. Pan Jan Drożdziejewicz pracował w latach okupacji i później w okresie PRL do roku 1976, w którym przeszedł na emeryturę. Powyższe pominięcie niniejszym uzupełniam. Halina Klimek.



SKAWINA

Nowość!

INKA

GRANULOWANA

TO JEST TO!

- ☆ Z powodzeniem zastępuje kawę naturalną
- ☆ Nie zawiera kofeiny
- ☆ Nie szkodzi na serce
- ☆ Jest bezkaloryczna, a więc nietuczająca
- ☆ Otrzymała znak „Zdrowa Żywność Atestowana”

Ekstrakt kawy zbożowej „Inka” produkowany w skawińskich „Koncentratkach” jest od lat znany na rynku krajowym oraz eksportowany do wielu krajów świata.

„Inkę” otrzymuje się z naturalnych surowców roślinnych takich, jak: ziarno jęczmienia i żyta oraz korzenie cykorii i buraków cukrowych. Po oczyszczeniu surowce praży się, a następnie sporządza z nich mieszaninę, którą poddaje się wodnej ekstrakcji ciśnieniowej. Uzyskany ekstrakt jest zagęszczany, a następnie suszony i aglomerowany.

Kawa „Inka” jest proszkiem lub granulatem o barwie brązowej, łatwo rozpuszczalnym w gorącej wodzie i mleku, o smaku i zapachu charakterystycznym dla ekstraktów kaw zbożowych z udziałem cykorii.

Pozostałości zanieczyszczeń nieorganicznych, organicznych, skażeń drobnoustrojami oraz metali ciężkich są notowane w „Ince” w granicach standardów amerykańskich. Nie zawiera ona resztek środków ochrony roślin.

Ekstrakt kawy zbożowej „Inka” prezentuje najwyższy poziom światowy,

- posiada prawo oznaczania najwyższym znakiem jakości „Q”
 - był kilkakrotnie odznaczany na Międzynarodowych Targach w Lipsku i Poznaniu.
- Ostatnio „Inka” otrzymała znak „Zdrowa Żywność Atestowana”

Wyrób jest pakowany w słoje szklane, puszki metalowe, torebki z papieru powlekanego polietylenem i polichlorkiem winilidenu oraz kartoniki z tektury litej z barwnym nadrukiem a także luzem w worki polietylenowe.

„Inka” jest produktem służącym do łatwego i szybkiego przygotowania smacznego napoju, który może być spożywany na zimno i ciepło z wodą, mlekiem lub śmietanką.

- ◇ Można ją też używać do przygotowania deserów, lodów, kremów, budyni, ciast itp.
- ◇ Ponieważ nie zawiera kofeiny, może być spożywana przez dzieci, szczególnie z mlekiem po dosłodzeniu cukrem lub miodem do smaku.
- ◇ Zastępuje zarówno kawy prawdziwe, jak i inne „błyskawiczne”.

Szukajcie „INKI” w sklepach spożywczych całego kraju

zapraszamy do nas

KONCENTRATY SPOŻYWCZE SA
32-050 Skawina, ul. Piłsudskiego 1
tel. Kraków (012) 76-37-77, 76-39-74
tlx 0322533, 0325477, fax 76-37-80